



PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie
Kwartalnie. rs. 1.
Za odnośnienie do domu kwartalnie kop. 10.
Na prowincyi
Kwartalnie. rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Chmielna Nr 26.

Warszawa, dnia 21 Listopada
3 Grudnia 1892 roku.

PRENUMERATA WYNOŚI:

We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

Treść: Od redakcyi. — Panna Melania, powieść przez St. M. Rzętkowskiego (ciąg dalszy). — Hygiena. — Z Tatr (wiersz). — Korespondencya z Paryża o ubiorach. — Teatr. — Sybilla, powieść przez F. C. Philips i C. J. Wills, przekład Zofii Grabowskiej (ciąg dalszy). — Z tygodnia. — Z chwili bieżącej. — Ogłoszenia. —
W dodatku: Nierozłączni, powieść przez Janinę Mairret (arkusz 11).

OD REDAKCYI.

Przypominamy odnowienie prenumeraty na kwartał pierwszy roku 1893-go. Warunki prenumeraty pozostają te same, a mianowicie:

*W Warszawie: kwartalnie rs. 1.
Na prowincyi z przesyłką pocztową:
kwartalnie rs. 1 kop. 25.
półrocznie rs. 2 kop. 50.
rocznie rs. 5.*

Adres: „Tygodnika mód i powieści” w Warszawie, Chmielna Nr 26.

Upraszamy Szanownych Prenumeratorów o nadsyłanie kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Za zmianę adresu kop. 15.

Zwraca się uwagę, iż tylko drobne kwoty pieniężne przyjmujemy markami pocztowymi, których nie należy przyklejać do listów.

PANNA MELANIA.

POWIEŚĆ

PRZEZ

St. M. Rzętkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Wieczorem tego dnia jeszcze Melania z Wacławem znaleźli się w pokoiku, który zajmowała Andzia. Była sublokatorką jakiejś wdowy, kobiety zacnej, ale przez śmierć męża zubożałej. Pracowała ta pani zawzięcie, aby wyżywić troje dzieci, i wchodzących powitał najpierw głośny turkot maszyny, na której pani Rębiszewska szyla z takim zajęciem, że nie słyszała nawet skrzypnięcia drzwi.

Wacław podszedł do niej i powitał ją przyjaźnie, a powitanie miało ten skutek, że wdowa zerwała się nagle od roboty i odpowiedziała ukłonem najuprzejmiej. Z zadziwieniem tylko spojrzała na Melanię, która uważała za stosowne dać się poznać bliżej.

— Przychodzimy w odwiedziny do panny Anny, którą znam dosyć dawno i której od dosyć dawna nie widziałam.

— Panna Anna jeszcze nie powróciła z zajęcia, ale powróci niezadługo — brzmiała odpowiedź. — Panie doktorze, może państwo zechcą poczekać w jej pokoiku?

— Wybornie — odparł Wacław — tym sposobem nie będziemy przeszkadzali pani w pracy.

Pani Rębiszewska na chwilę zniknęła w pokoiku Andzi, a gdy powróciła, przez drzwi otwarte było tam już widać światło.

— Proszę państwa.

Pokoik był bardzo szczupłutki, ale bardzo schludny i dosyć gęsto zastawiony sprzętami. Też same krzeselka, co niegdyś na poddaszu, też same skromne firanki u okien, toż samo łóżko, pokryte białą kapą, a nad niem obrazek Matki Boskiej i pod nim fotografia... Wacława. Melania udała, że jej nie spostrzega, ale młody lekarz, który uważał na jej ruchy i spojrzenia, domyślił się, że jeżeli nie zapytuje o nic, nie dziwi się, to niezawodnie tylko przez dyskrety, a może dlatego, że pragnie sama uniknąć przykrości dotykania tego przedmiotu.

W umeblowaniu jednak i w przybraniu mieszkania widać było pewne przybytki, rodzaj skromniutkiego wykintu, którego Melania na poddaszu nie widziała. Oto przy ścianie na półeczce zegarek stojący, śliczne cacko brązowe, parę bardzo ładnych obrazków, w kącie klęcznik dębowy a nad nim krucyfiks wybornie wykonany, na oknie kilka kwiatków w doniczkach gustownie przystrojonych... kilkanaście zresztą drobnostek porozstawianych tu i owdzie, wybranych ręką znawcy, ręką życzliwą i serdecznie dbałą o przybranie tej siedziby szczupłutkiej, ale zacisznej i miłej.

Rozpatrywała się Melania w każdym szczególe spostrzeżonym, doznając dziwnego wrażenia. Domyślała się, że ten powabny kącik wiele ze swoich powabów zawdzięczać musi Wacławowi, że jego uboga mieszkanka nie mogłaby stroić tak swego gniazdeczka, pracując bardzo ciężko na kawałek chleba. I dziwiło ją to, że ten, co mógł pięknymi fraszkami przybierać mieszkanko Andzi, nie zapragnął nadewszystko oszczędzać jej trudu.

— Ładnie tu jest — po długiej chwili milczenia odezwała się panna Bosińska.

— Nie tak, jakbym pragnął — odrzekł szczerze i z zapalem Wacław. — Ale moja narzeczona ma pretensyą do stania o siłę własnej, a każda fraszka, jaką poważylem się jej w upominku złożyć, była powodem jej żalu i wymówek.

Słowa te musiały Melanii wystarczyć na teraz jako wyjaśnienie, bo oto drzwi się otworzyły i stanęła w nich Andzia, zarumieniona od mrozu, uśmiechnięta radośnie na widok Wacława, który podszedł do niej szybko, ujął w serdecznym uścisku jej rękę, wyciągniętą ku sobie, i rzekł:

— Przyprowadzam pani gościa dawno niewidzianego.

Andzia odwróciła się i spostrzegła teraz dopiero Melanię. Była to dla niej niespodzianka, sprawiająca wrażenie silne i na naturze którego pomylić się było niepodobna. Na twarzy dziewczęcia osiadła powaga i surowość, rumieńce nagle pobladły, a usta wyszeptaly ledwie dosłyszalnie:

— A, to pani!

Słowom tym towarzyszył ukłon ceremonialnie sztywny, któremu odpowiedzią było ze strony Melanii podanie ręki.

— Cieszę się bardzo, że widzę panią zdrową — rzekła panna Bosińska, starając się panować nad sobą, — i cieszę się... jeszcze bardziej, że mogę w pani powitać narzeczoną towarzysza lat dawnych — dodała.

— Pani wie? — mimowoli wykrzyknęła Andzia.

— Zdradziłem tajemnicę wspólną — wtrącił wesoło Wacław; — daruj mi pani! Uczyniłem to nie bez celu. W tych rękach tajemnica nabierze znaczenia uroczystego aktu.

Melania tymczasem wpatrywała się w Andzię i widziała dobrze, że dziewczę teraz, po powrocie do zdrowia, zyskało wiele na wdzięku, piękności i nawet powadze. Kształty jej wypełniały, rumieniec okrasiał twarzyczkę, a z oczów bił blask młodości i zdrowia, największy z powabów kobiecych. Spojrzenie jasne, szczere, uśmiech wesoły, swoboda ruchów, to także okrasa, potęgująca wdzięk ogólny, a wybór Wacława świadczył wymownie, że tym zaletom zewnętrznym towarzyszyć musiały i wdzięki duszy, których panna Melania poznać dotychczas nie mogła.

— Panno Anno — rzekła, przerywając kłopotliwe milczenie, bo panienska po słowach Wacława, nie odpowiedziała nic, — ja tu nie przyszedłem poto, aby panią zaniepokoić niespodzianką odwiedzin. Przybyłem z prośbą... serdeczną i gorącą, której pani wysłuchać musisz... i spełnić.

Andzia zwróciła ku mówiącej spojrzenie pytające i zadziwienia pełne.

— Pani tu samej źle... i u obcych.

Wacław pochylił głowę, słuchając bacznie, co dalej nastąpi.

— Przyszedłem tu, aby panią zabrać, a potem oddać narzeczonemu przed ołtarzem, na całe życie.

Wacław nagle, usłyszawszy to, pochwycił dłoni Melanii i przycisnął ją do ust.

— Dziękuję pani — szepnął z przejęciem, — jesteś dobra i szlachetna.

— Jakto, zabrać mnie? — spytała zdziwiona Andzia. — Alboż mi tu niedobrze, w tym cichym pokoiku, do którego mnie przykuwa wiele wspomnień radosnych i serdecznych?

— Bardzo wierzę — odparła spokojnie Melania, — a wierzę także, że w pewnych chwilach życia taki cichy kącik wystarcza za świat cały. Trzeba jednak obudzić się ze snów złotych... To wszystko nie wystarcza dla przyszłości.

Potem, objawszy ramieniem szyję dziewczęcia, szepnęła jej słodko:

— Aneczko, czy zechcesz być mi siostrą?

Panienska uwolniła się łagodnie z tego uścisku i odparła:

— Siostrą pani... ja? I pani to mówi szczerze?

— Tak.

— A jednak zdawało mi się... tam, niegdyś! Ach! jakże wówczas cierpiałam. A potem upokarzała mnie pani temi... jałmużnami, które odrzucałam z rozpaczą.

— Myliłaś się, jam tego nie czyniła.

— A ten służący, który tak brutalnie oddawał nieżądane posyłki?

— Nie wiem o niczem. Nie przysyłałam niko-go. Nie rozumiałam twego listu, który skrzywdził mnie tak ciężko.

— I pani istotnie... nie masz do mnie żalu?

— O co?

— Ach, nie wiem! Zdawało mi się, że my obiedwie możemy żyć tylko zdaleka, że tu, na ziemi, zaciśnięto dla nas, że jednego szczęścia zamało dla obydwóch.

— Pomyliłaś się, siostrzyczko — odparła smutno Melania. — Nienawidziłaś mnie niesłusznie. Ja — dodała głucho, zaciskając kurczowo dłonie, — nie mam pretensy do żadnego szczęścia... do tego, co przeznaczone tobie. Twoje szczęście mi wystarczy. Bądź spokojna i zaufaj mi.

— I pani to czynisz dla mnie?

— Tak... a może i dla kogoś jeszcze — dodała cicho. — Ale nie mówmy o tem. Nie odpowiedziałas mi dotąd nic, czekam.

— O dobrze, bądź mi pani siostrą! — zawołała Andzia z serdeczną prośbą w twarzy, — ufam ci, ufam teraz zupełnie!

Melania uśmiechnęła się poważnie i, sadzając przy sobie Andzię, z jej ręką w dłoni, rzekła:

— Tutaj zostać nie możesz. Jesteś zamłoda na to, aby przyjmować odwiedziny narzeczonego w tym zacisznym kąciku, który niema ścian szklanych.

Wacław, usłyszawszy te słowa, zapewne też dotknięty niemile ich znaczeniem, szybko zapytał:

— Dlaczego?

— O niedomyślny, a szczęśliwy przyjacielu — brzmiała odpowiedź, — czyż pan nie rozumiesz, że nie myślę wcale trzymać waszej tajemnicy w ukryciu i że pragnę gorąco, ażeby ona przestała istnieć dla tych, którzy mają prawo poznać ją? Czy nie pragniesz pan może, aby twój skarb ukrywał się jaknajdłużej i w słodkiej idylli oczekiwał dalekiego dnia, w którym naprawdę twoim się stanie? Co czynicie oboje, aby ten dzień przyspieszyć? Nie odpowiadacie ani słowa! A więc trzeba, by ktoś za was o tem myślał. Zdajcie to na mnie.

— Co pani zamierza? — spytał Wacław.

— Pannę Annę zabieram do siebie jaknajprędzej, do czego mam wszelkie prawo jako siostra, a uczynię to dlatego, aby ją dać poznać pańskiej matce i siostrze... wszystkim zresztą, kogo to obchodzić może. A potem... pomyślimy o dniu

uroczystym, którego nie doczekacie się nigdy, jeżeli rzeczy będą szły trybem dotychczasowym. Widzicie państwo, jestem trochę formalistka i... godzę się niekiedy z wymaganiami świata. Zapominać o nich nie należy... dla własnego spokoju. No, siostrzyczko, skoro tylko będziesz mogła, przeniesiesz się do mnie, czego dopilnuję sama. A tymczasem nie mówmy już o tem. Panie Wacławie, czas nam w drogę!

* * *

— Co to wszystko znaczy? — pytał Wacław już na ulicy, odprowadzając Melanię do domu.

— Nie pojmujesz pan? Mój Boże, a to takie proste! Andzia jest sama na świecie, pracuje ciężko, ufa siłom własnym zbytecznie, a przytem należy jej się opieka matki pańskiej, skoro nie ma własnej. Ludzie są bardzo złośliwi, a ja się domyślam, że jest ktoś, co się interesuje nie przez samą życzliwość tylko. Pamiętasz pan te przesyłki, tego służącego, te tajemnicze listy, które ją tak oburzały?... Pozwól mi pan nad nią czuwać! Zakochani nie widzą dobrze, bo nie patrzą na wszystko; potrzeba im zawsze opieki przyjaznej.

— I pani nam ją ofiarujesz?

— To pana dziwi? Dlaczego? Pragnę panu dowiedzieć, że prawdziwa przyjaźń między kobietą a mężczyzną jest możliwa. Niegdyś twierdziłeś pan, że to nieprawda.

— Nie twierdziłem tego bezwarunkowo — odparł żywo, — utrzymywałem tylko, że jeżeli istnieje istotnie, fundamentem jej jest...

— Ciekawam bardzo co?

— Ofiara — dobitnie odparł Wacław.

— A jednak dzisiaj jeszcze mówiłeś pan, że wierzysz w moją przyjaźń?

— Bo wierzę... w poświęcenie — odrzekł z drżeniem w głosie.

— Cicho! — przerwała mu Melania. — Gotów pan wymyśleć Bóg wie nie co, byleby utrzymać swoje zdanie. Jesteś pan brzydkim egoistą!

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Rok bieżący smutne zostawi po sobie wspomnienie w niektórych krajach Europy, a jednocześnie i u nas. Epidemia cholery prawie wszędzie ucihła, lecz liczne ofiary które zabrała świadczą, że nie straciła ona swej złośliwości. Ogólna strata ludności w Europie dosięga 300,000 ludzi podług danych urzędowych, w rzeczywistości jednak jest ona daleko większa. Strata to olbrzymia, gdy weźmiemy na uwagę, że większość tych ludzi zmarłych na cholere należała do klasy pracującej a zatem produkującej, wytwórczej, która w każdym społeczeństwie jest, śmiało rzecz można, najużyteczniejszą i najpotrzebniejszą. Byli to po większej części ludzie ubodzy, ojcowie i matki rodzin, zarabiający

na utrzymanie swoje i swoich dzieci, nie wykształceni i nieporządni, nieznający prawideł dyetetyki i higieny, ciemni, zabobonni, dlatego tylko że ubodzy. Promień światła posłany wśród nich w postaci zdrowej rady, przestrogi lub przepisów sanitarnych, wywoływał niewiarę, opozycję, bał nawet groźbę i opór czynny, wymagający postrachu i kar surowych.

Jak we Włoszech i w Hiszpanii, tak i u nas ciemnota stawiała w poprzek usiłowaniom ograniczenia epidemii i polepszenia warunków zdrowotnych miast, miasteczek i wiosek. Nie obeszło się tu bez ciężkich przepraw i zająć z oponentami, lecz w końcu prawda wzięła górę, nauka i higiena zaczęły tryumfować, a zbawienne środki zapobiegawcze, wpływając na ograniczenie cholery, wzbudziły wiarę w masach ludności i zyskały uznanie całego społeczeństwa.

W kraju tutejszym epidemia zaczęła się w Biskupicach w Lubelskiem, skąd przeniesiona do Lublina, rozwinęła się w tem mieście z całą siłą i gwałtownością, głównie wśród ludności żydowskiej, dosyć licznej, lecz i dosyć ubogiej. Lublin poniósł straty w stosunku do swej ludności bardzo znaczne, a jednocześnie stał się ogniskiem, z którego, z powodu ożywionej komunikacji, rozeszła się epidemia po południowo-wschodniej części królestwa, zagrażając całemu krajowi, a szczególnie Warszawie.

O ile jednak Lublin nieprzygotowany był na przyjęcie strasznego gościa, o tyle Warszawa zbrojnie przeciw niemu wystąpiła i po krótkiej walce odniosła zwycięstwo.

Rewizye sanitarne, dezynfekcyja podróżnych i bagaży przybywających do Warszawy drogą lądową lub wodną z miejscowości dotkniętych epidemią, szybkie oddzielenie pierwszych chorych na cholere lub nawet podejrzanych od zdrowych, zapobiegły rozszerzeniu się cholery w mieście półmilionowem, które w innych warunkach byłoby zapewne dotkliwie straty poniosło.

I w Warszawie bowiem są ludzie biedni i ciemni, którzy nie wierzą ani lekarzowi, gdy im daje przestrogi, ani księdzu, gdy tłumaczy przepisy sanitarne i do stosowania ich w życiu codziennem zachęca. Nie dbają oni o czystość mieszkania i odzieży, jedzą pokarm nieświeży, owoce często nadgniłe i popijają wodą niegotowaną, a nawet niefiltrowaną. Przez takie postępowanie oni zwykle najpierwsi stają się ofiarami cholery, lecz wtedy zamiast udać się po radę do lekarza, prosić o pomieszczenie w szpitalu, tają chorobę, ukrywają się lub ukrywani bywają przez rodzinę, albo nareszcie, przenosząc się z miejsca na miejsce, sieją zarazę dokoła.

Takich prawo musi traktować surowo i przemocą nawet zmuszać do leczenia w szpitalu, gdzie mogą oni odzyskać zdrowie, nie stając się przenośnikami zarazy i nie przynosząc szkody innym.

Wogóle, dzięki czujności władz policyjno-lekarskich, dzięki przymusowemu oczyszczaniu domów, podwórz i mieszkań uboższej ludności w całej Warszawie, jak również i późnemu pojawieniu się cholery, miasto nasze niezbyt wielkie poniosło straty. Do końca Października zdarzyło się w Warszawie 161 przypadków cholery azyatyckiej, a z tych 21 poza granicami miasta. Śmiertelność cholery, zwykle 50% do 75% wynosząca, u nas nie była tak wysoka, a epidemia warszawska krótkotrwała i w porównaniu z lubelską znacznie słabsza się okazała, dzięki właśnie środkom zapobiegawczym, z niezwykłą sumiennością stosowanym i wykonywanym.

Już to przyznać należy, że właściciele domów w Warszawie, wywiązali się dobrze z obowiązków,

które na nich wkłada zamożność i stanowisko. Czy z poczucia, czy z obawy kar i odpowiedzialności sądowej robili oni to wszystko, nie tu miejsce rozstrzygać; dość, że robili wiele, ale jeszcze nie zawiele. Jeszcze pomimo czystości powierzchni domów i dziedzińców, jest wiele mieszkań brudnych i wilgotnych, których panowie kamienicznicy ani odnowić, ani osuszyć nie chcą swym lokatorom, a przecież pobyt w tych mieszkaniach warunkowo dla zdrowia jest szkodliwy i rozliczne wywołuje choroby, które choć odrazu nie zabijają, jak cholera, lecz wywołują inne choroby ciężkie i długotrwałe. Choroba taka, z wilgotnego mieszkania pochodząca, podkopuje zdrowie i skraca życie. Weźmy na przykład reumatyzm, po którym tak często wywiązują się choroby serca, weźmy te uparte i długotrwałe zimnice (febry), sprowadzające małokrwistość i ogólne osłabienie i chleractwo. Przyczyną ich są powiększonej części wilgotne, trudno dające się ogrzać mieszkania, a chorobom tym podlegają najczęściej ludzie ubodzy, których całym majątkiem jest zdrowie.

Również winni wobec higieny są właściciele domów, że zawczasie wynajmują mieszkania w domach nowych, zaledwie wykończonych, obchodząc przepisy policyjne. W takich domach mieszkanie, suche napozór w Lipcu lub Wrześniu, już w Listopadzie staje się wilgotnem.

Powietrze w niem, pomimo wentylacji i palenia w piecach, stęchłe i zimne, nasycone wonią wapna, szkodliwie działa na płuca, a grzybki chorobotwórcze gnieźdzą się po ścianach wśród pleśni, widzialnych dla gołego nawet oka.

Rzecz naturalna, że i grzybek cholery równie łatwo w takich mieszkaniach przechowywać się może i że dezynfekcyja takich domów daleko mniej bywa skuteczną.

Epidemiją cholery w mieście naszym uważać możemy za stłumioną, wiecie bowiem, szanowne czytelniczki, z pism codziennych, że ilość zachorowań coraz jest mniejszą. Nie wygasła ona jednak ani w Warszawie, ani na prowincyi i chociaż nadchodząca zima do jej stłumienia znacznie się może przyczynić, z wiosną jednak choroba znowu w rozmaitych miejscach prawdopodobnie się pojawi.

W całej Europie mniemanie to panuje, popierane przez powagi naukowe. Tak bywało wczasy dawniejszych epidemij, tak było z influenżą, która do dziś dnia jeszcze nie wygasła.

Jakże się zachować należy w obec tej smutnej możliwości powrotu choroby na rok przyszły?

Odpowiedź na to pytanie łatwa i wynika z dotychczasowego naszego postępowania. Cholera dała Europie w roku bieżącym porządną lekcję higieny.

Wszędzie gdzie przepisy policyjno-lekarskie stosowano ściśle oddawna, gdzie przepisy przeciwcholeryczne wprowadzono w czyn zawczasu, choroba ta nie znalazła gruntu sprzyjającego jej rozwojowi, a jeżeli się pojawiła to sporadycznie i prędko stłumioną została.

Porównajmy cholere w Hamburgu z naszą, warszawską, a wymowny będziemy mieli dowód, czego może człowiek dokonać wobec cholery, przez stosowanie przepisów zalecanych przez naukę i doświadczenie.

W Hamburgu zmarło 12,000 osób, w Warszawie około setki, dlatego że tam zatajono pierwsze przypadki cholery, gdy u nas śledzono bacznie, aby pierwszych chorych odłączyć, a mieszkania ich i domy całe poddać dezynfekcyi. W Hamburgu ludność uboga źle się żywiła i piła wodę z Elby, zanieczyszczoną do wysokiego stopnia, gdy u nas robotnicy

mieli bezpłatnie lub za tanie pieniądze ciepłą strawę i używali za napój wody przegotowanej, mięty lub herbaty.

Wobec więc grożącej nam na rok przyszły cholery zachować winniśmy te same ostrożności, które nam dotąd tak wielkie oddały usługi. Ten sam spokój, ten sam tryb życia, czystość co do ciała, odzieży i mieszkania, staranny wybór pokarmów i napojów, unikanie tego wszystkiego, co dla kanału pokarmowego jest trudnoprzyswajalne, umiarkowanie w jedzeniu i picu, regularny tryb życia, na koniec unikanie wszystkich chorób osłabiających organizm, a szczególnie chorób kanału pokarmowego. Zachowując przepisy higieny i dyetetyki osobistej, każda z was, szanowne panie, może być o rok przyszły spokojna.

Zresztą wiem z doświadczenia, że dziś gospodie nasze większą odznaczają się wiarą w higienę i profilaktykę niż dawniej, nie gardzą nawet podręcznikiem popularnym, a często w kwestyach higienicznych zasięgają porady nie tylko książki, ale nawet lekarza.

Dzięki wam, szanowne panie, za to, dzięki wam, młode matki! Wobec postępów waszych na polu higienicznym, zadanie lekarza wśród rodzin daleko jest łatwiejsze, trudy mniejsze, praca wdzięczniejsza.

Dziś nie żałuje on czasu na tłumaczenie wam przyczyn i objawów choroby, działania lekarstw lub środków dezynfekcyjnych, gdyż wie, że słowa jego na wdzięczną padają glebę. Zdrowie rodzin waszych, dzieć waszych będzie dla was nagrodą, a pojmovanie zjawisk życia, jego warunków, i stosowanie się do nich rozszerzy wasze poglądy i da zadowolenie z dobrze pojętych i spełnianych obowiązków.

Spełniając zadanie matki i gospodyni domu wobec rodziny i służby, bądźcie, szanowne panie, spokojne, czuwajcie nie tylko teraz, ale zawsze nad higieną swoich ognisk rodzinnych.

Higiena publiczna, od której również zależy zdrowotność mieszkańców, w mieście naszym na dobrej znajduje się drodze.

Współdziałajmy jej o ile każdy z nas może, nie tylko wobec cholery, lecz wobec wszystkich chorób, nie tylko, dziś ale zawsze.

D-r Al. Malinowski.

Z TATR.

I.

Wieczorem.

W wieczorną ciszę zdaleka słyszę
Szumiące cicho rzeki;
Myśli me zwolna, sennie kołysze
Szum cichy i daleki.

Wolno i sennie w wielki bezdennie
Świat myśli moje płyną,
Płyną nad gwiazdy lśniące promiennie
I w ciemnej pustce giną...

II.

W noc wrzesniową.

Cudowna nocy, słodka i kojąca,
Oto ma dusza znużona i blada
Na łono twoje bezsilnie upada,
Pod blask miesiąca.

Ciche ją światło obejmuje całą,
Usta jej pieszczą łagodne promienie
I dziwne schodzi senne zachwycenie
Na półomdlałą.

Zwolna ramiona zmęczone rozszerza,
Otacza niemi słup światła przezroczy
I upojona, światłem sycąc oczy,
Płynie w bezmierza.

Zbłąkany w drodze na jej bladej skroni,
Gwiazdy spoczywa promień modro złoty,
Niosąc jej z sobą marzące tęsknoty
Ku wielkiej toni...

I zdaje mi się że tam zkadś, z ciemności,
Wychodzi postać jakaś jasna, cicha,
I do mej sennej duszy się uśmiecha,
Pełna miłości.

Kazimierz Tetmajer.



1 Grudnia 1892 roku.

Minęły czasy, kiedy moda nosiła właściwe sobie piętno i zobowiązywała ogół do jej naśladowania. Rozmaitość objawia się dziś we wszystkim, w okrywkach, w sukniach, a szczególnie w kapeluszach, tak co do rozmiarów, jak i formy. Zbyt nią ta swoboda sprawia, że modnisie ubiegają się głównie za nowością, nieraz z poświęceniem dobrego smaku. Potrzeba nadzwyczaj biegłej ręki, aby, szukając oryginalności, nie wpaść w dziwaczną przesadę. Widzieliśmy jednak w pewnym magazynie bardzo ładne kapelusze i kapotki. Dajemy tu szczegółowy ich opis.

Jeden z nich, wizytowy w formie *Empire* z ciemnozielonego aksamitu, w odcieniu rozmarynowym, rondo podniesione wgórę, podbite ciemno-pasowym aksamitem; nad rondem upięte kokardy z wstążki zielonej, z brzegiem ciemno-pasowym; z pomiędzy nich wybiega strusie pióro zielone, u brzegów nakrapiane pasowo. Szarfy z wstążki odpowiedniej.

Druga kapotka, także wizytowa, z czarnego aksamitu; rondko bardzo małe, ogarniowane ruszą koronkową, przepinaną w odstępach rozetkami z wąskiej wstążki różowej (*vieux rose*). Nad rondkiem upięta egretka z czarnej aksamitnej wstążki i pióro

strusie różowe, nakrapiane czarno. Szarfy czarne średniej szerokości.

Inny kapelusik, do teatru, aksamitny różowy, główka przymarszczona, bez sztywnego podkładu; rondko, powleczone z wierzchu koronką czarną, tworzy nad czołem wielką kontrafałdę, podniesioną wgórę drucikiem; poza nią wybiegają pukle z wstążki różowej, a wpośrodku egretka z czarnych delikatnych piórek. Szarfy z czarnej aksamitki do wiązania naboku.

Z pomiędzy okrągłych kapeluszy podobał nam się bardzo brązowy kastorowy w odcieniu złotawym; rondo ma szerokie, lekko zagięte nad czołem. Z wierzchu upięte kokardy z wstążki aksamitnej mienionej w kolorach zielonym i złotym, ponad niemi egretka z drobnych zielonych piórek. Dopełnia ją przybrania dwa małe skrzydełka z zielonych i złotawych piórek, umieszczone pobokach.

Inny kapelusz, czarny kastorowy, mniejszy od poprzedniego, rondo ma wysunięte nad czoło, wtył podniesione dogóry. Główka u niego aksamitna jasno szafirowa (*bleu du roi*), kokardy z takiegoż aksamitu położone płasko, przytwierdzone broszą dżetową. Dwa czarne strusie pióra tworzą dość wysoką egretkę.

Uważaliśmy też bardzo zgrabny toczek aksamitny czarny, objęty wkoło czarnym marabutem; nad czołem kokarda czarna, z niej wychodzi egretka z drobnych piórek w żywych kolorach.

Co do okrywek zimowych, spostrzegamy trzy rodzaje całkiem odrębne od siebie, naprzód długie do ziemi płaszcze, zwane *pélisse*, potem rotundy sięgające poniżej kolan, przytwierdzone do karczka lub poprostu w formie wielkiej peleryny, na koniec długie paletoty. Okrywki te jedne podbite są lekkim futrem, inne watą pomieszaną z puchem edredonowym.

Na ulicy widzimy przeważnie paletoty rozmaitej długości, jedne do kolan w formie długich żakietek, inne do samej ziemi. Robią je z wigoniu lub szewiotu, w kolorach czarnym, brązowym, ciemno-zielonym lub granatowym, okładają barankiem astrachańskim albo wydrą. Plecy wpadają do figury; przody, mniej lub więcej luźne, zapinają się zboku na wielkie guzy szmuklerskie albo toczone, dane czterema rzędami z każdej strony.

Płaszczyki zwane *pélisse* robią zazwyczaj z aksamitu lub pluszu w kolorze czarnym albo brązowym. Widzimy w nich rozmaite odmiany. Niektóre są bez rękawów, podniesione tylko wgórę u ramion, inne przymarszczone do karczka, w plecach wpadające do figury; inne znów przybrane mniejszą lub dłuższą pelerynką. Zdobia je pasmanterią lub futrem kozy indyjskiej, z krętym, połyskującym włosem.

Do najstrojniejszych, jakie nam wpadły w oczy, należy płaszcz zwany *Mazepa*, długi do ziemi, z czarnego aksamitu. Plecy przylegają do stanu; o ćwierć łokcia odgóry przyfałdowany luźny bryt, podbity atlasem, tworzy tak zwany fałd *Watteau*, spadający do ziemi. Przód, lekko na piersiach udrapowany, spina się na lewym boku, tu od ramienia przez całą długość przechodzi czarne futro kozy indyjskiej. Rękawy bardzo szerokie, mankiet naszyty pasmanterią, objęty u ręki futrem. Taką opaska tworzy kołnierz u szyi.

Inny znów płaszczyk, z tkaniny wełnianej, w desenie z ciemno-zielonych punkcików na tle brązowym, karczek ma brązowy aksamitny, cały naszyty dżetem, objęty barankiem astrachańskim, rękawy bufiaste, od łokcia do ręki aksamitne, zakończone barankiem.

Z krótszych okrywek wpadła nam w oko czarna z *velours du Nord*, bryty krajane prosto, przymarszczone do karczka zahaftowanego dżetem, objętego wkoło szenszylą. Rękawy bardzo szerokie, bufiaste, od łokcia mankiet aksamitny, zakończony futrem u ręki.

Przejdźmy na koniec do sukien. Krój z roku 1830 przemaga w nich stanowczo, wyjątkowo tylko, i to do balowego ubrania, ukazują się suknie z epoki pierwszego cesarstwa, z krótkim stanem, lecz ogół w nich nie gustuje. Widzieliśmy w pracowni panny Elizy Méry kilka pięknych sukien na wizyty i obiady prozane; przytaczamy tu dokładny ich opis.

Suknia jedwabna na tle popielatym w drobny przerabiany desenie w guście tureckim. Spódnica do ziemi, wtył dość rzęśisto przymarszczona do stanu. Udołu idzie plisa ukośna z aksamitu mienionego w kolorach popielatym i ceglasto-różowym, szeroka na pół łokcia, z obu stron objęta paskiem ciemnego futra. Stanik gładki bez bawetu, z przodu otwarty, spięty na plastronie aksamitnym trzema jedwabnymi pletniami. Przez plecy do przodu idzie berta z takiej samej metery, mocno przyfałdowana na ramionach, a dochodzi tylko do plastronu.

Rękawy bardzo szerokie, aksamitne, złożone z dwóch buf rozniesistych, od łokcia obcisłe z materii, objęte u ręki futerkiem.

Druga suknia, także jedwabna, na tle heliotropowym w rzucik z drobnych listeczków zielonych. Spódnica z przodu lekko udrapowana w poprzek, wtył z małym trenem. Udołu idzie plisa z materii mienionej w odpowiednich kolorach, heliotropowym i zielonym. Ta plisa, skupiona w odstępach, tworzy lekkie festony; w tychże odstępach dane kokardki z zielonego aksamitu, zwrócone różkami dogóry. Stanik zupełnie gładki, z wierzchu upięta chusteczka *Marie Antoinette* z koronki naśladowanej alonsońską, skrzyżowana na piersi, z długimi końcami wtył. Chusteczka ta na ramionach i w stanie podpinana kokardkami aksamitnymi w formie różków, czyli tak zwanych *oreilles d'âne*.

Trzecia suknia, mniej strojna od poprzednich, z wełnianej tkaniny *velours*, w drobne prążki ciemno-zielone, na tle jasno-zielonym, *vert d'eau*. Prążki te idą w poprzek spódnicy. Udołu dwie plisy z aksamitu mienionego w dwóch zielonych odcieniach, każda plisa przytwierdzona wgórę wąską pasmanterią. Spódnica namarszczona wtył, wszyta w pasek, spięta zboku na dwa guziki. Stanik ma formę krótkiej westki *Bolero*, otwartej na przdzie. Na wykroju idą szerokie aksamitne wyłogi, łączące się z wielkim kołnierzem. Zpod otworu wygląda plastron marszczony, z takiego materiału jak suknia, ujęty ugóry w obrózkę aksamitną, udołu w aksamitny pasek, przechodzący nad paskiem od spódnicy.

Rękawy mocno bufowane aksamitne, od łokcia wąskie, z tkaniny wełnianej.

Takie krótkie westki *Bolero* bardzo dzisiaj są modne. Do większego ubrania robią je z aksamitu, zdobia haftem lub pasmanterią, do mniejszego z wigoniu lub sukienka, wyszywane pletnią, okładane barankiem. Podspód idzie szmizetka z fularu *surah*, lub kaszmiru w żywym kolorze. Widzieliśmy podobne westki z tkaniny *jersey*, czarne, brązowe, granatowe i ciemno-zielone; noszą je na szmizetce kaszmirowej w kratę szkocką, rękawy także w kraty i mocno nabufowane.

S. D.



„NAUCZYCIELKA.”

Sztuka w czterech aktach, zalecona do wystawienia przez sędziów konkursu dramatycznego.

Młody książę Porycz, jeden z tych utytułowanych lekkoduchów, niewyobrażających sobie, aby poza żądzą i kaprysem z ich strony ludzkość miała jakieś prawa moralne i obowiązujące, uwiódł Martę Czerwiównę, ubogą nauczycielkę, i porzucił ją, by szukać nowych łupów. Marta poszła w świat z rozpaczą w duszy i silnym postanowieniem zatarcia błędu całym życiem uczciwości i honoru. I byłaby w ciszy i tajemnicy pokutowała, gdyby nie przypadek, który bardzo często w życiu bywa posłańcem Nemezis karzącej.

Marta znalazła się w domu hrabiny Lignickiej, jako wychowawczyni jej wnuczki Felicyi. Ta zaś wnuczka pokochała Porycz, chciwego na jej wiano sieroce, i byłaby go niezawodnie poślubiła, gdyby nie traf, niebardzo odpowiedni dla sztuki dzisiejszej, a powtarzający się w niej po parę razy. Oto przy pomocy podsłuchania rozmowy, hrabina poznaje przeszłość Marty, od której żąda, aby ją odkryła Felicyi. Tym sposobem tylko wnuczka hrabiny Lignickiej może uniknąć nieszczęść, jakie jej zgotuje małżeństwo z księciem.

Marta czyni zadosyć żądaniu hrabiny; przyszłe małżeństwo nie dojdzie do skutku. Ale dla niej samej wyznanie ma doniosłość olbrzymią. Barski, człowiek bardzo zacny i rozumny, pokochał ją. Pragnie ją poślubić, nie rozumiejąc, dlaczego ona na to się nie zgadza. Jest zanadto wielkim znawcą serca ludzkiego, aby się to przed wzrokiem jego ukryć mogło, że Marta go kocha. Istotnie, kocha go, lecz nie chce z nim mówić o przeszłości, ani go obalać rolę nieświadomego dziewczęcia. Pragnie uciec od ludzi i ukryć się przed ich wzrokiem, aby zostać na zawsze odrzuconą i wyklętą z własnego wyroku.

Dzięki podsłuchaniu Barski poznaje tajemnicę Marty i rzeczy przyjmują obrót nieoczekiwany. Szlachetny ten człowiek nie cofa ani cząsteczki swego uczucia dla pokrzywdzonej nauczycielki i stwierdza to czynem. Wyzywa Porycz i... nie zabija go, ani też jest przezeń zabitym, bo sztuka kończy się na groźbie pojedynku, zawieszającej losy głównych postaci na Damoklesowym włosie przeznaczenia.

Rozwiązania przeto niema.

Słuchacz odchodzi z teatru pod wrażeniem kilku scen bardzo silnych i poruszających jedną z kwestyj najbardziej bolesnych i nieobiecującą rychłego rozwiązania.

Czy kobieta, uwiedziona przy pomocy nieświadomości własnej, uczucia i krwi zasługuje na potępienie i czy niema dla niej usprawiedliwienia, a szczególnie przebaczenia? Czy mężczyzna, który bierze jej cześć, a potem ją porzuca, nie jest nikczemnikiem i dlaczego świat nie odrzuca go z pogardą, gdy na tamtę rzuca klątwę bez apelacji?

Sztuka nie rozwiązuje tych zagadnień, ale nasuwa je tylko umysłem słuchaczów, jak już powiedzieliśmy wyżej, w kilku scenach bardzo pięknych i sil-

nych. Niema tu francuskich zuchwałstw w uniewinnianiu i potępieniu, niema tu doktrynerstwa etycznego — jest tylko obraz krzywdy i łotrowstwa, których autor nie sądzi, pozostawiając to publiczności. Może właśnie dlatego sztuka nie kończy się wcale, nie chce bowiem przypuszczać, aby jej twórca, zdradzający obycie się ze sceną, z piórem i układaniem przedmiotu w formę sceniczną, przez nagłe urwanie akcji i treści popełniał jeden z bardzo elementarnych błędów.

Jeżeli Porycz zginie w pojedynku, przepadnie tylko... jeden półgłówek, który kto wie, czy kiedykolwiek w życiu choćby przez chwilę myślał o moralnym znaczeniu swojej „lekkomyślności.” Zawielki ekspens tragiczności na takie liche indywiduum! A jeżeli umrze Barski — stanie się wielka niesprawiedliwość, która w sztuce byłaby niemożliwą i arcy niepożądaną. A przytem Marta powlokłaby dalej życie samotne, już nie w tajemnicy, której tak długo strzegła i opłacała ją ekspiacyą. Byłaby tedy krzywdą ciężka. A zaś nagroda z ręki autora, jakieś uradowanie *uczciwych* przy bengalskim ogniu rozczulenia powszechnego — to trywialne, brutalnie śmiałe i melodramatyczne, krzywiące pomysł piękny i wykonanie nie bez zalet poważnych.

Dobrze więc jest tak, jak jest, bez dopowiedzenia sensu moralnego, bez rozwiązania bajki, którego autor na swoją odpowiedzialność brać nie chciał. Niechaj sobie słuchacz dośpiewa resztę w swej domyślności, która mu może podsunie koniec najwłaściwszy. Choć z drugiej strony jest obawa, czy koniec ten nie będzie ukazywał się rozmaicie różnym, wedle ich poglądów filozoficznych i moralnych, wedle ich pojęć, nawyków i przesądów...

„Sztuka” jest niezaprzeczenie wytworem umysłu głębszego, ze świadomością sił przedsięwziętego zadania i prowadzącego je przez perypetye sceniczne z niemałym zasobem posiadanego widocznie doświadczenia. Zarozwlekła ekspozycja, zawzięte rysowane postacie drugoplanowe, a nawet i niektóre główne, zaskwapliwe posilkiwanie się sposobami popychającymi akcją, a które, jak na przykład podsłuchiwanie, oddawna są już zakazane dla sceny: oto słabe strony dzieła, które autor pomyśli nie okupuje treścią, opracowaniem postaci głównych (Marta i hrabina), szczerością uczucia w momentach właściwych, nastrojem dramatycznym, niesfałszowanym przez komedijowe dygresje, wprowadzone w porę i bardzo ładnym językiem. Co do tego ostatniego, jest to rzecz spotykana bardzo rzadko u naszych autorów dramatycznych, którzy, naśladowując we wszystkim kolegów francuskich, pod tym jedynym względem nic o nich wiedzieć nie chcą.

„Nauczycielkę” grano popisowo, wystudyowano na ogół bardzo starannie, opracowano z przekonaniem widocznym. Kobięce role przypadły paniom Niewiarowskiej (hrabina), Marcellównie (Marta), Trapszównie (hrabianka), Mazurowskiej, Czakównie i Borkowskiej. W grze panny Marcellówny Marta posiadała wiele siły, uczucia, bólu i... temperamentu, który czynił ją niekiedy szorstką. Pani Niewiarowska dała postać bardzo szlachetną, ale nie pokobiecemu zbyt powściągliwą. Hrabianka, dzięki pannie Trapszównie, była bardzo sympatycznie naturalną i szczerą, a wszystkie inne role, z drobnymi restrykcjami, grane były świetnie.

W personelu męskim panowie Nowicki (Barski) i Prażmowski (Porycz) dominowali ważnością zadania i głębszym traktowaniem ról, niedosyć przez autora rozwiniętych. Pysznym był pan Wolski,

jako Arkowski, jeden z tych półgłówek arystokratycznych, patrzących na sprawy ludzkie przez szkiełka swego krańcowego głupstwa.

Całość tedy wywołała wrażenie dodatnie — pomimo to że... nie godziła w gust publiczności nastrojem farsalnym, ani szumnie zaintonowaną tezę, ani głęboko przeprowadzonym a nurtującym serca i wyobraźnię motywem — pomimo to, że jest tylko obrazem krzywdy, bardzo, niestety, pospolitej. Na rachunek tego możnaby powiedzieć to i owo tym, co twierdzą, że publiczność w teatrze szuka tylko zabawy.

Przez „Nauczycielkę” horyzont konkursowy rozjaśnił się, a dzięki temu rozterka, wytworzona przez „Flirt” i „Szare życie” między spodziewaniami publiczności, a zaleceniami sędziów konkursowych, układa się do równowagi. Wytworzyło się nawet podejrzenie, że do awangardy konkursowej na scenę wypchnięto umyślnie ciurów obozowych, chowając prawdziwe bojowniki na deser. Słychać też, że w tekach sędziowskich znajdują się jeszcze rzeczy prawdziwie piękne, którymby się należało życie pośród kul scenicznych. Byłoby to bardzo pożądane i miłe dla tej publiczności, która tak ochoczo „robi kasę” na każdym przedstawieniu sztuki konkursowej, tak skwapliwie oklaskuje każdy godniejszy uwagi szczegół, tak się serdecznie cieszy, gdy jaknajczęściej klaskać może.

St. M. Rz.

SYBILLA. POWIEŚĆ

przez

F. C. Philips i C. J. Wills.

PRZEKŁAD

Zofii Grabowskiej.

(Ciąg dalszy.)

XXVII.

Plany Jerzego.

Sybilla pędziła bardzo przyjemne życie w domu państwa Drummond.

Trzej odprawieni młodzieńcy nie narzucali się już młodej dziedziczce po przybyciu jej przybranych rodziców, lecz zastąpiło ich mnóstwo innych i gdyby chciała, mogłaby zostać żoną para irlandzkiego, albo młodego bankiera, albo kapitana gwardyi. Ale wszystkich konkurentów odrzucała i gdy się sezon skończył, była jeszcze wolna.

Mrs. Drummond, jako prawdziwa kobieta, lubiła swatać, sprawiało jej to więc wielką przykrość, iż rzeczy biorą taki obrót. Byłaby chciała, żeby Sybilla za przykładem jej córek oddała rękę jakiemu zacnemu człowiekowi. Parę razy przemawiała do rozsądku swej wychowanki, ale nadaremnie.

W tym to czasie Jerzy wrócił niespodzianie do Anglii. Od kilku miesięcy dochodziły od niego bardzo skąpe wiadomości. Pisywał tylko że zdrów, że się już obejdzie bez pomocy ojca, gdyż ma byt

zapewniony, ale nie przygotował rodziny na to, że stał się bogaczem.

Mrs. Drummond przyszło teraz na myśl, że porażka dawniejszych wielbicieli Sybilli może wyjść Jerzemu na dobre.

Te nadzieje macierzyńskie zaczęły niezadługo wydawać owoce; młodzieniec nie bawił jeszcze dwóch tygodni, kiedy zwierzył się matce z uczucia dla Sybilli.

— Ja zawsze ją kochałem, matko. Mam to przekonanie, że ją kochał już wówczas, kiedy była owym wątłym dzieckiem indyjskim, które ciągle upadało i tłukło sobie kolanka. Czy myślisz, że mogę mieć szansę?

— Naturalnie, Sybilla nie jest zajęta nikim. Odrzuca wszystkie partye, a miała dużo doskonałych. Zdaje mi się, że masz wszelką szansę, mój najdroższy.

— Chciałbym mieć to przekonanie.

— Dlaczego nie oświadczysz się?

— Zaczekam jeszcze.

— Zwlekać jest zawsze niebezpiecznie. Ty ją kochasz, ona zapewne ci się odwzajemnia. Usłuchaj mojej rady, powiedz jej wszystko.

— Zobaczymy, zobaczymy.

Ponieważ jakoś nie szedł za radą matki, postanowiła sama zbadać Sybillę przy pierwszej sposobności. Nie występując w roli posłanniczki syna, powiedziała jej tylko, że Jerzy bardzo ją kocha i że z pewnością będzie dobrym mężem, jeśli zechce oddać mu rękę.

— Niezmiernie mi przykro — odrzekła dziewczę. — Mam najwyższy szacunek dla Jerzego. Zawszem go bardzo ceniła, ale nie mogę zostać jego żoną. Proszę, powiedz mu pani to i oszczędź mu odmowy, oszczędź nam obojgu tej przykrości, moja najukochańsza i najlepsza przyjaciółko.

Mrs. Drummond, zadumna, żeby nalegać po tej odpowiedzi, postanowiła zostawić wolny bieg sprawy i niemieszać się, przynajmniej chwilowo. Nie powiedziała Jerzemu, że mówiła z Sybillą, żeby nie ostudzić jego zapału, ani pułkownikowi, żeby go nie rozgniewać. Jako rozumna kobieta, zataiła całą rzecz, licząc na to, że czas przyniesie jaką zmianę; że może zmigocze serce Sybilli.

Sezon londyński zbliżał się ku końcowi, kiedy państwo Drummond odebrali wiadomość o śmierci starszego brata pułkownika, starego kawalera, który od wielu już lat przebywał za granicą, głównie we Włoszech. Nieboszyk zapisał pułkownikowi wspaniałą majątność leżącą w Walii. Chcąc spędzić koniec lata i jesieni w nowej rezydencji swojej, cała rodzina wyruszyła w końcu Lipca do księstwa.

W kilka dni po przybyciu, Jerzy oświadczył się Sybilli z tłiwoscią i zapałem, jakimi mogą natchnąć miłość i uczciwość zamiarów.

Sybilla powiedziała mu wprawdzie w inny sposób niż Chubmanowi i innym wielbicielom, bo ciepło, serdecznie, że nie może być jego żoną.

Naglona o wyjawienie przyczyny, nie dała zadowalającej odpowiedzi i nieszczęśliwy młodzieniec musiał w końcu zrzec się, przynajmniej chwilowo, za myśłu, tak drogiego sercu.

XXVIII.

O d r z u c o n y .

Tyle o konkurentach Sybilli. Widzieliśmy, że wszystkich odprowadza z niczem. Żadna przynęta

z komplementów, chociaż rzucona hojną ręką, nie mogła skusić tej ryby.

Sybilla była grubą rybą i wartą tego, by na nią zarzucać wędkę. Nie miała ani krewnych niedogodnych, ani wścibskich ciotek, ani kuzynów ubogich. Fortuna jej nie zawierała się w ziemi i nie składała z nadziei, lecz była w twardej, dobrej, pewnej gotówce, zapisana na jej imię w księgach banku angielskiego. W jej mocy było ofiarować ją całą człowiekowi, który będzie dosyć szczęśliwy, żeby pozyskać jej serce.

Byłoby to już czemś dla tych rybaków, gdyby gruba ryba wyprawiała im choć wyścigi za ich pieniądze, ale ona nie urządzała żadnych igrzysk. Lekko bujając po wodzie, na którą zarzucali wędki, nie zadrżała ani na jedną chwilę na spokojnych falach, nie mogli sobie powinszować nawet cienia wabności z jej strony. Większa część dziewcząt w jej wieku robiłaby sobie z tego zabawę, dałoby to im powód do niewinnej kokieteryi, do uściśnięć rąk, do spojrzeń ukradkowych, do małych zwierzeń, miniek i rumieńców. Ale Sybilla nie ulegała żadnej z tych słabostek niewieścich, bo czuła dla Jerzego coś więcej, aniżeli prostą przyjaźń. Z początku była to może tylko pamięć na chwile spędzone z nim wesoło w dzieciństwie, wczesci też i wdzięczność za to, że nie smali do niej cholewek. Walczyła z sobą, zrozumiałwszy stan swego serca, a potem wiodła spory z sumieniem i siliła się na wyznalezienie okoliczności łagodzących.

— Ja go nie kocham, lubię go tylko — myślała, ale jako dziewczyna dobrej wiary i trzeźwa, przyznała to sobie, że nieznacznie, powoli, prosta życzliwość ustąpiła miejsca miłości. Gdyby tak nie było, dlaczegożby natężyła ucho, czy nie usłyszy kroków, które nauczyła się poznawać odrazu? Dlaczegożby jej oczy błyszczały, gdy on jest obecny? Dlaczego rumieniec oblewał jej twarz, gdy się odezwie do niej? Tak, serce jej mówiło, że go kocha.

Sybilla nie zostawała już pod opieką sądową, była panią swej woli i gdyby nie jeden krok, postawiony przez dziewczęcą nierozwagę, mogła być szczęśliwa z człowiekiem którego kocha, bo kocha go z pewnością.

Gdy usłyszała jego imię przed chwilą, napróżno walczyła ze zdradzieckim rumieńcem, który chciał wystąpić na jej ładną twarzyczkę, gdyż, bądźco bądź, był to rumieniec naganny. Ale Jerzy nie wyznawał miłości swej, przynajmniej nie wypowiadał jej słowami, chociaż śmiały z natury, jako prawdziwie zakochany, stawał się bojaźliwym wobec tej jedynej kobiety na świecie całym, która go obchodziła. Przyjaciółki jej, nie wiedząc o tym epizodzie jej życia, w którym Chubman odegrał rolę, mówiły: „Sybilla wysoko sięga,” a ich matki i bracia utrzymywali, że jest dzika, albo kokietka bez serca.

Nie dziw, iż w tych okolicznościach, z tą tajemnicą, przyniatającą jej duszę, Sybilla stała się do pewnego stopnia marzycielką i że polubiła samotność.

Szczególnie upodobała sobie szeroką aleję, wysypianą żwirem, na długą kilkaset jardów, do której schodziło się po kilkunastu schodkach kamiennych. Aleję tę oceniał wysoki płot z przyszytych wawrzynów i rododendronów, a po obu jej stronach ciągnął się wązki pas murawy aksamitnej. Za murawą obszerny park zajmował całą dolinę, jak najdalej sięgało oko.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z TYGODNIEM

Z mrozem, który przed tygodniem zawitał w kilkustopniowej sile, z posępnością dojrzałej jesieni, z długością wieczorów — nastąpiła pora rozrywek najnudniejszych, bo tak zwanych rautów.

Co to jest raut?

Zebranie kilkudziesięciu osób ku wspólnemu celowi nudzenia się, poziewania, trochę plotek, trochę flirtu, wyczekiwania na kolacyą i zapalczywego czmychania skoro ostatnie echa brzęku widelcy, nożów i talerzy do snu się pokładają. Ma się rozumieć, że dla osiągnięcia celu tak... podniosłego, godzi się *zabawę* oprawić jaknajokazalej, wieczór dać sutą, wina kosztowne, przybrać się strojnem, uśmiechać się wesoło i udawać (we własnym domu), że niema nic przyjemniejszego, jak te tłumne nudy.

Niekiedy, dla dodania powabu rzeczy niepoważnej, dobrze jest zaprosić do towarzystwa jaką gwiazdę dnia, którą po przygotowaniach tajemniczych, tak sobie, w rodzaju improwizacji, rzuciła obecnym Tarantelę Liszta, albo... „Hagar na puszczy,” lub szereg bardzo salonowych sztuczek z dziedziny prestidigitatorstwa, magii i hypnotyzmu. Urozmaica to bardzo ziewanie, milczących jak groby wciąga do zabawy, pozwala na dyskusye, sprzeczki, dysertacyjki pseudo-naukowe.

Nie należy się tylko spodziewać, że takie szczęśliwe *intermezze* zelektryzują zebranych na długo. Po kolacyi obowiązkowo rozmowy przycichają, kawalerya ucieka na papierosa, panienki... wzdychają szeroko za wachlarzami, a mamy zaczynają coraz częściej zaglądać do gabinetu pana domu, w którym wint kwitnie na kilku stolikach. Ach, tu się bawią wybornie i bawić się mają ochotę długo jeszcze, jaknajdłużej! Tu się przynajmniej rozumie cel zebrania, określony jasno i wyraźnie.

Rauty powstały z dawniejszych zebrani rodzinnych, ale są do nich podobne, jak pięść do nosa. Wykwint, będący dla wielu rodzin najprostszym zbytkiem, wtłoczył je w atmosferę ciężką i duszną, odebrał im prostotę, przyoblekł w pretensjonalność, uczynił nudnemi. Na tych rautach dzisiejszych króluje przedewszystkiem poza, przerastanie siebie samych, wyciąganie głów z osady, pyszna farsa dobrego tonu. Ludzie źle wychowani udają tu wychowanych dobrze, stąpają na koturnach, zapożyczonych od sfery wyższej, naśladowują, starają się być tem, czem nie są. Tylko tam, przy pocziwym wincia, mianowicie gdy już pod lichtarzami pozapisywano grube rezultaty wygranych i platek, ludziska wracają do właściwej równowagi. Poznać ich i ocenić łatwo, bo nie mają czasu pozować. „Pas, pas, pas, pas!” sypie się gradem, szczerze, otwarcie, głośno i choć te pasy są jedynymi argumentami karcianej dyskusyi, żaden nie prowadzi do nieporozumień, do niezgody, do wywyższania się...

Notabene zastrzegam się, że wint jest dla mnie rzeczą obcą; nie znam go wcale, a jeżeli oddaję mu tutaj sprawiedliwość, to tylko jako „rakowi na bezrybiu.” Bardzo to pożądana rozrywka dla tych, co się... połudzku bawić nie umieją, ani do powiedzenia nie mają nic, ani się serdecznie roześmiać nie lubią, ani komuś rozrywki i wesołości przysporzyć. Przytem oddawna już zauważyłem, że szlachetna

„śruba” nie wymaga ani rozumu, ani dowcipu, ani wykształcenia. Obchodzi się bez nich wybornie i ze swojej natury wistowej ma jeszcze tę zaletę, że nikogo do mówienia nie podnieca. Można przy niej być rabinem wszelakiej mądrości, byle tylko mieć maleńki łucik szczęścia. To się przecież przytrafia i... półgłówkom.

Alboż nie tak wyglądają rauty?

Miłe, bardzo miłe zabawy!

W roku zeszłym o tej samej porze ogłosiłem tu konkurs (bez nagrody) na rozprawę pod tytułem „O sposobie ożywienia zebrań towarzyskich.” Sygnęło się kilkanaście rękopisów, objętości mniej więcej arkusika papieru listowego, ale żaden z autorów i żadna z autorek odpowiedniego sposobu wskazać nie umieli. Dopiero później, o wiele później, gdy już pora rautów przeminęła szczęśliwie, powiedział mi ktoś o nich rzecz, godną zanotowania do użytku publicznego.

— Takie zabawy, jacy ludzie. Tomek, przewoźnik ze Solca, w swoim żywiole jest, gdy na Saskiej Kępie wióry drze z podłogi w obertasie na skręcenie karku, a jego ideał, Kundusia od pana „lawirowego,” za szczyt marzeń ludzkich ma jazdę pod obłoki na młynie dyabelskim. Wybierajcież na rauty swoje gości, którzy w salonie są u siebie, od towarzystwa ku knajpie się nie rwą, bawić się jedynie kartami nie pragną i nie są o tyle głodni, iżby kolacja była im celem. Sprosić między cztery ściany osobistości, z których każda gdzieindziej zmierza, poddając się chwilowo tylko niwelacji fraka, to się na dyabła nie zdało. Ludzie ci nie mają do siebie nic i obcy sobie będą zaraz za drzwiami. Prawdziwe frotery tam, gdzie się nie tańczy. Szary tłum, polakierowany na jeden wieczór na czarno — oto wszystko. To nie towarzystwo, to nie goście, to nie swoi. Nic ich tu nie ciągnie, okrom przypadkowego zaproszenia. Pójdą sobie z kądem przyszedli, radzi pójść jaknajprędzej.

— A co do pań?...

— Z temi już łatwiej, ale radzę z doświadczenia, aby nie zapraszać na rauty zakochanych, pragnących się wydać, emancypantek, sawantek i... lalek z żurnalu. To niedobry żywioł do zabawy.

A możeby wypadało korzystać z tych rad, dosyć z pozorów trafnych? Szkoda bowiem tych rautów, tych dawnych zebrań rodzinnych, które bywały uciechą życia, jego opromienieniem i promieniowaniem jednocześnie...

Maryusz.

Z chwili bieżącej.

* Obchód św. Cecylii odbył się przed tygodniem w Towarzystwie muzycznym nie trybem lat poprzednich, w których ograniczał się do wieczery i humorystyki — przyniósł bowiem myśl poważną, dzięki odczytanemu referatowi doktora Dobrzyckiego. Szanowny autor jego żąda — *à propos* utworzenia w Towarzystwie sekcji Moniuszki — aby ono zainicjowało rozpowszechnianie muzyki religijnej zarówno tego mistrza, jak i innych twórców swoich. Doktor Dobrzycki sądzi, że dla osiągnięcia tego celu należałoby przygotować seryj koncertów, dla których miejscem najodpowiedniejszym byłby... kościół. Nie godząc się na ten szczegół ostatni, popieramy gorąco ogólną myśl autora referatu. Co

się tyczy zaś muzyki kościelnej Moniuszki, jakkolwiek nie jest wcale utworzona w duchu gregoriańskim i nie wzoruje się na typach Palestriny, to zdaje się, że z potrzeby czas na nią przychodzi. Muzyka to w stylu szczerze religijnym, pełna prostoty, jasna, pogodna, serdeczna, jak prawdziwy hymn uwielbienia, w którym niema ani jednego zgrzytu, świadczącego o nędzach żywota. A właśnie agituje się w Rzymie kwestya przyprowadzenia muzyki religijnej do należytej powagi, kwestya usunięcia popisów krzykliwych i wrzaskliwości symfonicznej z chórów kościelnych. Moniuszko znalazłby się na miejscu odpowiedni.

Dowiedzieli się też uczestnicy obchodu, że utalentowany autor „Świtezianki” i „Psalmu,” Zygmunt Noskowski, pracuje nad operą, która, wedle jego solennej obietnicy, przed przyszłorocznym obchodem św. Cecylii ma być gotowa na scenę. Pochwycono skwapliwie obietnicę i uwarunkowano ją klauzulą surową. Noskowskiemu życzymy z serca, aby mu praca ciężka na chleb powszedni w dotrzymaniu przyrzeczenia przeszkoda się nie stała!

* Przecinek choleryczny, odkryty przez doktora Kocha i uznany przez lekarzy za przyczynę cholery, poczyną tracić na powadze, wskutek opinii sławnego Pettenkoffera, który przeczy szkodliwości przecinka. Oświadcza on, że celem wywołania choroby u siebie połykał miliony bakcyliów, przysposabiał żołądek do ich najszybszego rozwoju, neutralizował kwasy żołądkowe, jadł surowizny, narażał się umyślnie na niedyspozycję — wszystko napróżno. Doktor Emmerich naśladował go — również bez skutku. Doktor Pettenkoffer twierdzi, że źródło cholery tkwi w warunkach miejscowych, w ubóstwie i niechlujstwie mieszkańców — że cholera przenosić się nie daje, zaraźliwa nie jest; utrzymuje też, że dotychczasowe środki walczenia z nią nie prowadzą do niczego, że kwarantanny i dezynfekcje są bezużyteczne — że jedyny sposób zapobieżenia jej polega na poprawie warunków zdrowotności w miejscu danem i poprawie bytu ubogich. Zdania te doktora Pettenkoffera, wypowiedziane kategorycznie i śmiało, sprawiły niemałe wrażenie w świecie lekarskim, ale czekają nowych badań i potwierdzenia na drodze doświadczalnej. Nim to nastąpi, trzeba uznawać przecinek Kochowski i stosować też same środki zapobiegawcze, jakie stosowano dotąd z rezultatem pomyślnym, czemu doktor Pettenkoffer zaprzeczyć nie może. Niech się uczeni tymczasem spierają o przecinek, niechaj dochodzą prawdy; my wszyscy wiemy już z doświadczenia, że cokolwiek jest przyczyną cholery i jakkolwiek jest jej istota — ma groźnych przeciwników w hygienie rozumnej, czystości, umiarkowaniu i dbałości o porządek publiczny.

* Łaźnia ludowa ma być zbudowana w roku przyszłym w dzielnicy północno-zachodniej Warszawy, dzięki jednemu z właścicieli fabryk, który ku temu celowi przywiózł odpowiednie plany z Berlina. Jeżeli myśl zbudowania łaźni przyjdzie do skutku, stanie się to dobrodziejstwem dla robotników, którzy najbardziej potrzebują wody i mydła, a najrzadziej używać ich mogą.

* Szkołę rzemiosł dla kobiet otworzyła w Kielcach pani Grobicka, oznajomiwszy się pierw z naturą podobnych zakładów w Warszawie. Nowość tę powitano bardzo życzliwie i można przewidywać, że szkole powodzić się będzie. Uczy ona kroju, haftu białego i kolorowego, kwiaciarnictwa, pończosznicstwa, szycia bielizny, koronkarstwa, robienia gipiur, rysunku, modniarstwa, strojów, szewstwa, introligatorstwa i wypalania na drzewie.

* Lombard miejski, jak słychać, ma otrzymać większe fundusze, przeznaczone na pożyczki zastawowe. Słychać również, że lombardy prywatne uleżą mają przepisom nowym, ograniczającym, jeżeli nie uniemożliwiającym, formalne zdzierstwo, jakie się w wielu z nich praktykuje. Procenta pobierane od pożyczek małych (do rs. 10) zostaną zmniejszone, a także od prolongat. Sam tryb odbywania licytacji na fanty niewykupione i nieprolongowane w terminie właściwym, dający tak szerokie pole do nadużyć, zostanie ujęty w nowe karby i określony formalnościami, które nieuczciwości i zdzierstwa powściągną. Sprawa to, bądźco bądź, domagająca się jak najrychlejszego uporządkowania.

Odpowiedzi od redakcyi.

Pani B. w Stawiszczach. Paletociki pluszowe nieczem się nie obkładają. Jedynie tylko do syberyjny lub szewiotu, albo grubej wełny, można dodać obłożenie z astrachanu.

Redakcyja „Tygodnika mód i powieści” przyjmuje interesantów w sprawach literackich wyłącznie w poniedziałki i czwartki, między godziną 12—2 z południa.

Zbiorowe wydawnictwo powieści obyczajowych humorystycznych

Alberta Wilczyńskiego,
autora

„Kłopotów Starego Komendanta,”

tomów 20, które z przesyłką pocztową kosztowały rs. 14, dla prenumeratorów „Tygodnika mód i powieści” **zniżamy na rs. 9.**

PRZYJACIEL DZIECI,

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie		Na Prowincyi	
Rocznie	rs. 4.	Rocznie	rs. 5 k. —.
Półrocznie . . .	rs. 2.	Półrocznie . . .	rs. 2 k. 50.
Kwartalnie . . .	rs. 1.	Kwartalnie . . .	rs. 1 k. 25.

Adres: Redakcyi ulica Chmielna № 26.

Numer 49 wyszedł z druku i zawiera:

Z dziedziny zoologii: Sowy. — Na czasie. — Żeglarz nad żeglarze, opowiadanie sprzed lat czterystu, przez Michała Synoradzkiego. — Józefa Kamocka (z drzeworytem). — Góra Sobótka (z drzeworytem). — Bez wieści. — Pomnik dla Krzysztofa Kolumba (z drzeworytem). — Juliusz Verne: Zamek wśród gór przekład Bronisławy K. — Przy kominku (z drzeworytem). — Pozory często myślą (wiersz). — Wdzięczne wróbelki, przez Teresę Jądrę. — Janeczka (wiersz). — Opowiadanie o pewnym królu i trzech jego synach. — Odpowiedzi od redakcyi. — Łamigłówni.

Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami dla prenumeratorów, otrzymujących pismo nasze za pośrednictwem poczty, dołącza się prospekt tygodnika p. t. „Rola,” oraz „Wielkiej Encyklopedyi ilustrowanej” S. Sikorskiego.

ENCYKLOPEDIA POWSZECHNA.

W trzech wielkich tomach,

poczynając od 1893 roku, dodaje się jako premium bezpłatne do czasopisma „Przegląd Tygodniowy,” objaśnionej ilustracyami, planami, mapami, etc.

Przegląd Tygodniowy w XXVIII roku istnienia zbyt dobrze jest znany społeczeństwu, aby potrzebował szerokiego objaśnienia; przypominamy tylko, iż składa się on z 52 numerów **tygodnika**, każdy od 8 do 16 wielkich czterospaltowych kolumn druku z objaśniającymi ilustracyami; z comiesięcznych **Dodatków** naukowych (ilustrowanych), oraz **Powieściowych**, które to ostatnie otrzymują abonenci w rozmiarze **stu arkuszy** druku rocznie, za dopłatą rs. 1 k. 50 (z przesyłką rs. 2).

Premium „Podreczna Encyklopedia Powszechna” wyjdzie w trzech wielkich tomach i uwzględni przy największej ścisłości w terminologii, danych, tytułach—**jaknajwiększą** ilość objaśnień naukowych, oraz faktów historycznych, biograficznych, bibliograficznych—głównie z okresu nowożytnego, doprowadzonego do dni bieżących. Taka Encyklopedia, **otrzymana bez osobnego dla abonentów kosztu**, potrzebna jest każdemu, jako pierwsze źródło informacyjne dogodne w użyciu i przystępne dla wszystkich. Wydawnictwo rozpocznie się zaraz w pierwszym kwartale; **papier użyty będzie trwały i piękny, druk nowy.**

W **Przeglądzie** i w **dodatkach** drukujemy, lub drukować będziemy powieści: **Adolfa Dygasńskiego „Gorzałka,” Pawła Bourgeta „Cosmopolis,” Emila Zoli „Doktor Pascal,”** Daudeta i innych, oprócz krótkich nowel i obrazków autorów wszystkich literatur świata.

WARUNKI PRENUMERATY:

Prenum. z 10 tomami Powieści w Warszawie:

Rocznie rs. 8 kop. 70
Półrocznie rs. 4 kop. 35
Kwartał I i IV po. rs. 2 kop. 10
Kwartał II i III po. rs. 2 kop. 25

Prenumerata bez Powieści w Warszawie:

Rocznie rs. 7 kop. 20
Półrocznie rs. 3 kop. 60
Kwartał rs. 1 kop. 80
Miesięcznie rs. — kop. 60

Za odnośzenie do domu dopłaca się 5 k.mie.

Prenum. z 10 tomami Powieści na Prowincyi:

Rocznie rs. 12
Półrocznie rs. 6
Kwartał rs. 3

Prenumerata bez Powieści na Prowincyi:

Rocznie rs. 10 kop. —
Półrocznie rs. 5 kop. —
Kwartał rs. 2 kop. 50

Za zmianę adresu dopłaca się każdorazowo kop. 10.

Adres: Redakcyja „Przeglądu Tygodniowego,” Warszawa, Czysła Nr 4.

Wyjątkowa sposobność zaopatrzenia się w dobre książki:

Grupy dzieł po cenach zniżonych:

GRUPA № 1. (Przyrodnicza).

1) K. Darwin: O powstawaniu gatunków rs. 4. 2) K. Darwin: Podróż naturalisty rs. 4. 3) K. Darwin: Zmienność roślin i zwierząt 2 tomy rs. 5. 4) Liebig: O wartości pokarmów k. 15. 5) Virchow: Ludzka i małpia czaszka kop. 25. 6) Menault: O zmyślności zwierząt k. 60. 7) Forel: Hypnotyzm kop. 75. — Czyli dzieł 7 wartości rs. 14 kop. 75 za rs. 5 z przesyłką rs. 8.

GRUPA № 2 (Powieściowa).

1) Sienkiewicz: Na marne kop. 75. 2) Vergi: Mąż Heleny k. 60. 3) Erckmann-Chatrian: Tajemniczy obraz k. 10. 4) Ebers: Słowo rs. 1 k. 80. 5) Coppée: Nowele k. 60. 6) Vergi: Ewa k. 50. 7) Taylor: Kłytia rs. 1 k. 50. 8) Ordon: Loterya k. 15. 9) Rogosz: Motory życia rs. 2. 10) Björnson: Leonarda k. 30. 11) Strindberg: Panna Julia kop. 30. 12) Strindberg: Ojciec k. 30. — Czyli dzieł 12 wartości rs. 8 kop. 90, za rs. 3 z przesyłką rs. 3 kop. 50.

GRUPA № 3 (Pedagogiczna).

1) A. Dygasński: Pierwsze nauczanie rs. 1 k. 50. 2) A. Dygasński: Ogólne zasady pedagogiki rs. 1. 3) Mignet: Życie Franklina k. 15. 4) Legouvé: Ojcowie i dzieci rs. 1 k. 50. 5) Blackwell: Religia zdrowia k. 10. 6) Froebel: Kilka słów o metodzie. Razem dzieł 6 wartości 4.40 za rs. 1.50 z przesyłką rs. 2.

GRUPA № 4 (Naukowa).

1) Mill: Utilitaryzm kop. 20. 2) Mill: Autobiografia rs. 1. 3) Nauki matematyczne rs. 2. 4) Brugsch: O powstawaniu pisma k. 20. 5) Hertz Dr. Kosmografia rs. 2 — Czyli dzieł 5 wartości 5.40 za rs. 1.50 z przesyłką rs. 2.

GRUPA № 5 (Kobieca).

1) Stanton: Kwestya kobieca w Europie rs. 1 k. 50. 2) Scherr: Kobiety k. 15. 3) Dobrski: Pielęgnowanie chorych k. 15. 4) Schweiger-Lerchenfeld: Życie kobiet na ziemi rs. 4 k. 50. — Czyli dzieł 4 wartości 6.30 za rs. 1.50 z przesyłką rs. 2.

GRUPA № 6 (Ekonomia, historia, kwestye społeczne).

1) Endelman: O rozwoju stowarzyszeń kop. 20. 2) Dumas: Dochodzenie ojcostwa k. 25. 3) Ingram: Historia ekonomii politycznej rs. 1 kop. 50. 4) Hertzberg: Historia Grecyi rs. 3. — Czyli dzieł 4 wartości 5.15 za rs. 1 z przesyłką 1.30.

GRUPA № 7 (Literatura, sztuki piękne).

1) St. Victor: Bogowie i ludzie k. 60. 2) Czajewski: Historia literatury czeskiej rs. 1 k. 50. 3) Bertioz: Wieczory orkiestrowe rs. 1. 4) Strodtmann: Ruch umysł. Danii kop. 50. 5) Nemenyi: Węgry współczesne rs. 1 kop. 50. — Czyli dzieł 5 wartości 5.10 za rs. 1.50 z przesyłką rs. 2.

GRUPA № 8 (Gospodarcza).

1) Rogójski: Hodowla zwierząt (oprawne) rs. 1. 2) Polak Dr.: Hyg. fabryk i rzemiosł kop. 60. 3) Rogójski: Owocarstwo kop. 60. — Razem dzieł 3 wart. rs. 2 kop. 20 za k. 75 z przesyłką rs. 1. Biorący wszystkie grupy razem płacą rs. 10, z przesyłką rs. 15 lub więcej zależnie od odległości: stanowczo żadne przestawianie dzieł, oraz dowolne formowanie z dzieł tu wymienionych—nowych grup, miejsca mieć nie może, wszystkie wszakże dzieła nabywać można pojedynczo po cenach katalogowych.

Adres: Redakcyja „Przeglądu Tygodniowego,” Warszawa, Czysła Nr 4.

2476—25
MAKART,
W WARSZAWIE.
NOWO-OTWORZONA
FOTOGRAFIA ARTYSTYCZNA
KRAK.-PRZEDMIEŚCIE 7 (gdzie cukiernia Toura).
Dział artystyczny prowadzi artysta malarz St. Kozłowski, techniczny Wł. Ehrenkreutz
długoletni pracownik firmy Mieczkowskiego i Conrada.
Aparaty i utensylia najnowsze. Ceny umiarkowane.

W SZKOLE RZEMIOSŁ DLA KOBIET
ALEKSANDRY KORYCIŃSKIEJ,
W WARSZAWIE, KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE Nr 17.
Otwierają się kursa: Kroju sukien, Bielizny, Szycia, Strojów, Koronkarstwa, Haftów, Pończosznicwa, Rękawicznictwa, Krawatów, Szewctwa, Introligatorstwa, Koszykarstwa, Robót włóczkowych, Tkactwa, Szmuklerstwa, Heliominiatur, Malowania na porcelanie i aksamicie, Wy-palania na drzewie i skórze, Rysunków na szkło, Litografii i Metalorytnictwa.
PENSYONARKI PRZYJMUJE.
Tamże zakład gimnastyki leczniczej, dla kobiet i dzieci, udzielanej przez doktorów.
Przygotowana i sprzedaż dozwolona na ogólnych zasadach handlu.

14319 50
WODA MEXICO
Feliksa WARESKIEGO.
Niezawodny środek przeciwko wypadaniu włosów, tworzeniu się łupieżu oraz nerwowym i reumatycznym bólom głowy.
Główny Skład: przy Składzie Aptecznym, TŁOMACKIE Nr 13, w Warszawie.

Дозволено Цензурою. Варшава, 19 Ноября 1892 г. Druk Emila Skińskiego, Warszawa.

ROMANS I POWIEŚĆ

Najtańsze pismo powieściowe

W FORMACIE KSIĄŻKOWYM.

Każda powieść drukowaną jest tak, iż można ją oprawić oddzielnie. Prenumeratorzy mają więc sposobność otrzymać 8—10 tomów rocznie nader interesujących powieści i romansów, zarówno oryginalnych, jak i tłumaczonych.

Warunki prenumeraty:

W Warszawie: Rocznie rs. 3, Półrocznie rs. 1 kop. 50, Kwartalnie kop. 75, Miesięcznie kop. 25. Na Prowincyi i w Cesarstwie: Rocznie rs. 4, Półrocznie rs. 2, Kwartalnie rs. 1. Za odnośzenie do domu dopłaca się kop. 5 miesięcznie.

Cena pojedynczego zeszytu kop. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi Nieceła Nr 42, w Warszawie.

Wydawca: A. Pajewski.

Redaktor: J. Śliwowski.

D. KURDELSKA
MAZOWIECKA Nr 11,
b. Krojeźni u W-go B. Hersego,
wykończa suknie, okrycia i wierzchy do futer, podług modeli przysyłanych z Magazynu Rouffa w Paryżu.
264 2—2
Przy wyprawach za fason sukni 12 rubli.

SKŁAD WIN
I TOWARÓW KOLONIALNYCH
„WIKTORJA.”
w WARSZAWIE, 264 1—3
Królewska 37 (róg Marszałkowskiej).
Poleca wina, wódki, koniaki (lecznicze), araki, likiery, piwo i porter, masło świeże i solone, sery różne, powidła, sardynki, śledzie, kawior i inne w wyborowych gatunkach i po niskich cenach.

JERSEY-BAZAR
C. LESKI
263 1—4 w WARSZAWIE,
Krakowskie-Przedmieście Nr 1.
poleca
NA SEZON ZIMOWY
i Gwiazdkę:

Staniki, bluzy, żakiety, ubiorki dziecięce trykotowe. Jako specjalność zwraca się uwagę na smockingi z kamizelkami na bluzy flanelowe, barczanowe, mianowicie na bluzę Rusticana. Wielki wybór woalek. Zakład karbowania i plisowania. Obstalunki wykonywują się w 24 godzin.

2.7 5—6 NOWO OTWORZONY
Skład Towarów Łokciowych
W. MICHAELI,
Marszałkowska 97, w Warszawie.
Poleca materiały wełniane na suknie i mundurki szkolne, wyroby bawełniane firmy „Heintzel i Kunitzer w Łodzi,” oraz wszelkie towary w zakres handlu wchodzące. Ceny niskie.
***** 31. Nowogrodzka 31. *****
PRACOWNIA UBIORÓW DAMSKICH
BIELEWSKIEJ,
223 egzystująca od lat 20, 5—6 obecnie przeniesioną została na ulicę Nowogrodzką 31 na dole, od frontu, a ciesząc się względami Sz. Pań do tej pory, więc i nadal polecam się ich względami.
Modele paryżkie. — Krój francuski.
***** 31. Nowogrodzka 31. *****

243 5—6
SZKOŁA KROJU
SKWARECKIEJ
systemem Worth'a. Uczennice praktykują nie na muślinie, lecz na materiałach Zakładu. Przyjmuje obstalunki i wykonywa po dług najświeższych żurnali.
Plac Św. Aleksandra Nr 14.
PRZY PRACOWNI
PELAGII
NOWY-SWIAT 21,
udziela lekcji kroju sposobem własnym ułatwionym, na przystępnych warunkach. Uczennice ze wsi mogą być przyjmowane na stancyę. Konwersacya francuska i muzyka.
Oczywiście specjalne do marynat, stołówek i kuchni. One poleca fabryka K. Wiland, Hoża 9, dawniej 8. Przy fabryce sprzedaż detaliczna.

Zatwierdzone przez wyższą Władzę
SZKOŁY KROJU I SZYCIA
systemem
WORTH'A
pod firmą:
A la Parisienne,
1-sza: Chmielna 30 parter front.
2-ga: Kra .-Przedmieście Nr 7 obok fotografii.
Przy szkołach pracownia sukien, okryć damskich i ubiorów dziecięcych, w której uczennice mogą praktykować.

FABRYKA GORSETÓW
egzystująca od 1857
pod firmą 171 4—6
JEANNE BERGERS
Krakowskie-Przedmieście 51,
z dniem 13 (1) Lipca została przeniesioną do sklepu przy ulicy
Krakow.-Przedmieście 19.

2.7 5—6 NOWO-OTWORZONY
ZAKŁAD KEFIROWY
K. ŻYCKIEGO
9. Nowy-Swiat 9.
Poleca kefir trzech stopni, podług najracjonalniejszych prawideł. Odstawa natychmiastowa bezpłatna. 220 6—6

W. Sierczyński
SZEW C DAMSKI I MĘZKI
poleca obuwie z najlepszych materiałów, fasony modne, wykończenie staranne. Przyj. 213 5—6 muje obstalunki.
WARECKA I (róg Nowego-Swiatu).
Marszałkowska Nr 151.
MAGAZYN DZIECINNY
Janiny
Dla dzieci: Sukienki, Palta, Ubranka.
Dla dzieci: Bielizna, Wyprawki, Fartusiki.
Dla dzieci: Specjalnie mocne Pończoszki.
Dla dzieci: Chroniące od zaziębienia Trykotaże.
Dla dzieci: Czapki i Kapelusze. 2328—12
Słowem wszystkie artykuły dziecięce.

Pracownia ubiorów dziecięcych
H. WILKE,
z Krakowskiego-Przedmieścia z pod N-ru 15 przeniesiona na Nowy-Swiat 62, mieszkanka 37. 239 6—6